

Ilona Niedolistek

Recenzja książki Kari Herbert, „Żony polarników. Siedem niezwykłych historii”, wyd. Carta Blanca, 2011, s. 360.

„(...) żony polarników były dla swoich mężów niczym latarnie morskie. Nawet tysiące kilometrów od domu zdawali się słyszeć ich głosy, przebijające się przez polarne burze, zachęcające by szli do przodu, dodające im sił w walce z naturą, nawet wtedy gdy szansa powrotu była nikła”.

O wyczynach polarnych pionierów: Peary'ego, Scotta czy Nansena napisano wiele. Morderczy trud i wysiłek zapewnił im wieczne miejsce w historii, nie tylko odkryć geograficznych. Polarnicy to ludzie szczególni, o wyjątkowych umiejętnościach i cechach charakteru. Człowiek słaby na ciele i pozbawiony pchającego go naprzód, zahartowanego w nieludzkich mrozach, ducha nie zdziałałby wiele. Potrzeba było niezwykłej siły i odwagi, by podjąć próbę eksploracji Arktyki i Antarktydy w XIX w. Ale czy dokonaliby tego, gdyby nie ich żony?

Autorka książki, Kari Herbert, jest córką polarnika sir Wally'ego Herberta. Wczesne dzieciństwo spędziła w Arktyce, gdzie dobrze poznała czym jest życie w tak niegościnnym dla człowieka miejscu. Wie czym jest tęsknota i ciągły niepokój o ojca. Z tym większym szacunkiem prezentuje w swojej książce siedem portretów niezwykłych kobiet – żon podróżników i zdobywców obu biegunów.

Jej styl jest przejrzysty i rzeczowy, czasami jednak pokusi się o lekkie zbeletryzowanie swojej opowieści, co dodaje lekkości opowiadanym historiom. Herbert przeanalizowała prywatną korespondencję małżonków i chociaż śmiało cytuje fragmenty listów, zachowuje należną ostrożność w ujawnianiu najboleśniejszych tajemnic. Ma świadomość, że pisze o osobach-ikonach i potrzeba tu eleganckiego wyczucia, co można ujawnić, a co lepiej przemilczeć.

Na przełomie XIX i XX wieku podróżnicy mieli status dzisiejszych gwiazd filmowych. O ich wyprawach pisały wielkie dzienniki, relacje z wypraw czytało tysiące czytelników na całym świecie. Ale w świetle odbitym od swoich żon polarnicy wypadają jako ludzie dość słabo radzący sobie w codziennym życiu.

Shackelton, który zbliżył się do Bieguna Południowego najdalej w sobie współczesnych czasach, był w wiecznych tarapatkach finansowych, wprost nieudacznikiem pod tym względem. Nansen, po zakończeniu kariery podróżnika z powodzeniem odnalazł się w polityce, był niepoprawnym kobieciarzem. Jego romanse były przyczyną depresji i wielu fizycznych dolegliwości jego żony, Ewy Sars.

Najbardziej charyzmatyczny z polarników, Robert Peary, był z kolei nieznośnie arogancki i chorobliwie wręcz ambitny. Jego sukces w dużej mierze zależał od żony, Jo Peary, co zostało docenione po kilkudziesięciu latach, kiedy 92-letnia Jo została odznaczona złotym medalem Narodowego Towarzystwa Geograficznego za wkład w polarne dokonania Peary'ego.

Jo Peary w ogóle zasługuje na osobną biografię. Niezmiernie odważna, energiczna, wszelkie siły poświęciła wychowaniu dzieci i jednocześnie zdobywaniu sponsorów i pieniędzy na kolejne wyprawy męża. Była kobietą niezwykłą, chociaż w życiu prywatnym głęboko nieszczęśliwą. Samotnie zmagiała się z cierpieniem po stracie młodszej córki i ciągłymi kłopotami finansowymi. Nie złamało jej nawet odkrycie, że Peary na Biegunie miał drugą rodzinę i kilkoro dzieci z Innuitką.

Jakkolwiek działoby się w ich małżeństwach żony polarników bardzo dbały o pozytywny wizerunek męża, jako nieskazitelnego bohatera. Kathleen Scott, wdowa po Robercie Scocie, przez całe życie walczyła o jego dobre imię. Od śmierci Scotta w trakcie próby zdobycia Bieguna Południowego w 1912 roku podnosiły się głosy krytyki, że nadmierna ambicja i złe przygotowanie wyprawy doprowadziły do jej klęski i w konsekwencji do tragicznej śmierci Scotta i jego towarzyszy.

Po latach spędzonych wśród śniegu i lodu znużony podróżnik wracał do bezpiecznej przystani: żony i domu. Ale, gdy pierwsza radość minęła odkrywał jałowość i nudę codziennego życia. „Zwykł mawiać, że wyruszył z ekspedycją dla mnie, żeby się wybić z szeregu – to wspaniałe z jego strony, lecz nie mogę sobie schlebiać – to jego własny duch gnał go wciąż w nieznanie” czytamy w korespondencji Emily Shackleton.

Większość z odkrywców zapewne nie trafiłoby na karty historii odkryć geograficznych, gdyby nie ich żony, które nie tylko rozumiały tę ciągłą potrzebę podróży, ale i swoimi działaniami umożliwiały jej realizację. Wyprawy geograficzne były bardzo kosztowne, i bez wsparcia finansowego i zaplecza technicznego rządów niemożliwe. Podróżnicy byli ludźmi bardzo mało

praktycznymi, świetnie znali się na życiu w ekstremalnych warunkach, ale w sytuacji kiedy trzeba było zdobyć pieniądze na wyprawę poddawali się przy pierwszym niepowodzeniu. To bezimiennie do tej pory żony latami pukały do drzwi sponsorów, prowadząc przy tym dom, wychowując dzieci i wszystkie swoje siły oddając mężowi, którego trzeba było wesprzeć jeszcze psychicznie. Nierzadko, same przy tym cierpiały na depresję, stany zniechęcenia i zmęczenie, intensywnością dorównujące przeżyciom mężów w polarnej dzicy.

Czytając dziś te historie budzi podziw siła ducha tych kobiet. W XIX wieku społeczeństwo dla kobiety przeznaczało miejsce przy ognisku domowym, najlepiej z gromadką dzieci, a ją samą widziało jako delikatną i kruchą istotę. Tymczasem wiele z nich charyzmą i osobowością wręcz przyćmiewało mężów. Wspomniana Kathleen Scott odniosła większy sukces zawodowy niż Robert. Jo Peary towarzyszyła mężowi w trakcie jednej z wypraw na Grenlandię, za co była krytykowana i narażona na niewybredne komentarze. Ale to nie przeszkadzało jej nauczyć się polować niczym mężczyzna i radzić sobie lepiej niż niejeden z nich.

Kari Herbert nie ukrywa, że swoją książką chciałyby złożyć hołd kobietom, takim jak jej matka. Nie kryje dla nich podziwu, chociaż niektóre z nich dla mężów stały się swoistym nemezis. Książkę czyta się tym przyjemniej, że zilustrowana jest zdjęciami tych niepospolitych pań. Jest to też opowieść, która pokazuje kawał historii polarnictwa, tym razem z kobietą w roli głównej. A my powinniśmy pamiętać, że gdyby nie nalegania i wysiłki żon polarników o wielu z nich w ogóle byśmy dziś nie pamiętali.

Magdalena Łatkowska

Recenzja na konkurs: „Literackie fantazje na temat książek”.

Joyce Carol Oates: "Moja siostra, moja miłość".

Rodzina jakich wiele. Przez moment. Do czasu. Do czasu, gdy (w końcu) okazuje się, że jednak któreś z dzieci jest genialne! Nieszczęsny Skyler, po swoim niefortunnym i nie mającym absolutnie nic wspólnego z prawdą, oświadczeniu o zamiłowaniu do gimnastyki artystycznej, przepadł zarówno jako gwiazda, jak i ukochany synek. A tak bardzo chciał istnieć w oczach ojca i matki. O ironio! Na szczęście, dotąd zasmarkana, jęcząca i marudząca córeczka, okazała niechęć swój wielki geniusz, będący niespełnionym talentem mamusi. No wreszcie! Jednak będzie zaproszenie na bal noworoczny do państwa X. Jednak będzie artykuł na pierwszej stronie w gazecie. Jednak to MY rozdajemy karty. A kolejny bal noworoczny u nas i zastanowimy się najpierw mocno, czy zaprosić Igreków, skoro przez lata nas unikali.

A że mała Bliss cała spuchnięta od środków podtrzymujących jej kondycję, a że nogi wykręcone bólem, a oczy czerwone od płaczu. To nic, taka jest przecież cena sławy. Najważniejsze, że to dziecko tak kocha łyżwiarstwo! Cztery latka i pierwszy sukces! To się nie zdarza. Fakt, mamusia mocno na to pracowała. A Skyler? Cóż, niby mężczyzna mamusi, ale jednak, coraz częściej, to po prostu "cholerny, na dodatek utykający, dzieciak". Nie mówiąc już o tatusiu, którego duma została lekko dźgnięta podczas pamiętnego wyznania, że chyba raczej gimnastyka artystyczna, a nie football, a który teraz poszarpuje synem, żeby chociaż starał się chodzić normalnie. Zwłaszcza przy ludziach.

No, ale na szczęście jest Bliss!

Nie ma Bliss.

Ktoś zakradł się nocą do domu, wyrwał ją ze snu, zaciągnął do kotłowni i tam pozbawił życia. Jeszcze zostawił list, w którym przeczył temu, co zrobił. Nic się nie zgadza. Ale nieważne.

Ważne, że złapali w końcu tego potwora, którym okazał się miejscowy pedofil. Że udowodnili mu winę, że wmówili zeznanie. Zabił się, biedak.

Minęło dziesięć lat, zanim zdemoralizowany narkoman na odwyku postanowił zmierzyć się z przeszłością i otworzyć przed światem puszkę Pandory, w której zginęła jego mała siostrzyczka. I on sam. Od dziesięciu lat żywy trup. Odsyłany ze szkoły do szkoły, z odwyku na odwyk. Matkę widywał jedynie jako gościa łzawych talk show, na kanapie w TV. Ojca jeszcze rzadziej. Ale przecież opiekowali się nim. Płacili bająnskie sumy na jego terapię i naukę. A on, zapadnięty w poczuciu winy, zgarbiony pod (nie) swoim krzyżem, z odrośniętymi (już) włosami, z podrapaną do krwi skórą jakoś nie umiał zdobyć się na wdzięczność. W końcu list od matki, żeby przyjechał. Bo operacja, bo niewiadomo. Potem drugi list, na tym samym, lawendowym, pachnącym i kiczowatym papierze z logo firmy, której była założycielką. Przyjeżdż. Kilka rozmów z bliskimi od niedawna ludźmi i decyzja o podróży. Spóźnił się jednak. Nie, nie rak. Niestety. Powikłania po jakiejś zupełnie niepotrzebnej operacji plastycznej. Wiedział, że coś tam jednak na niego czeka. Jakaś przesyłka. Tylko dla jego oczu. Doczekał się. Ojciec mu przekazał.

Kaseta video. I list.

Niewinny.

Wyprostował się po raz pierwszy od lat.

A ojciec w to wszystko uwierzył. W tę mistyfikację, precyzyjnie dla niego wymyśloną, żeby odsunąć od siebie podejrzenia, bo przecież jej, żonie, nigdy by nie wybaczył.

Co innego małemu chłopcu, synkowi, który podczas zabawy, nieumyślnie, nie wiadomo kie...

Teraz wiedzą obaj. I nikt więcej.

Może jeszcze nie jest za późno, by spróbować normalnie żyć?

Poza tym wszystkim, doskonała narracja. Autorka, ponad siedemdziesięcioletnia już dama, wciela się w dziewiętnastolatka i opisuje wydarzenia z jego perspektywy.

Fenomenalny zabieg. Wydawałoby się, że niemożliwy do zrealizowania.

A jednak. I to w jakim stylu!

Marek Borkowski

Recenzja na II Konkurs Miłośników Książek

„Literackie Fantazje”

Paweł Elsztajn *Moja Praga z archiwum wspomnień*

Dom Wydawniczy SYRENKA, Warszawa 2002.

Lekcje języka polskiego wypadały zazwyczaj po „długiej przerwie”. Ilekroć po niej spóźniałem się na zajęcia, tylekroć pan Aleksander Czubiński (polonista w Technikum Mechaniki Precyzyjnej) pytał: *dlaczego się spóźniłeś?* Odpowiadałem: *byłem na stolówce*. Wówczas profesor powtarzał mi wykład o praskim slangu, tradycyjnie kończony: *szedł chłop przez most bez czapki*. A wszystko to działo się w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku przy ulicy Grochowskiej, **na** Pradze.

Tę świadomość kulturowej odrębności praskiej przypomniałem sobie po zapoznaniu się ze wspomnieniami pana Pawła Elsztajna, pierwszego Obywatela Pragi, w książce *MOJA PRAGA*. To nie przewodnik po Pradze, to nie kronika, nie monografia Pragi i nie osobisty pamiętnik. To po trosze z każdego gatunku wzięte co najlepsze. By tego dokonać, trzeba było tę Pragę przeżyć. Trzeba było w Niej zostawić część siebie, trzeba było ją pokochać. Tak czule może ją wspominać tylko rdzenny prażanin. I spod takiego pióra książka ta wyszła.

Pan Paweł Elsztajn wspomnienia oznaczył jakże bliskim każdemu człowiekowi zaimkiem – *moja*. W praskiej gwarze, i nie tylko, *moja żona* skracano po prostu: *moja* – w użyciu rzeczownikowym. Wiadomo było o co chodzi. Ale są jeszcze i inne użycia tego bliskiego nam zaimka, a to w znaczeniu sentymentalnym : *moja kochana*, podmiotowym : *moja racja*, czy w znaczeniu patriotycznym: *Litwo! Ojczyzno moja*. Praga wg pana Pawła Elsztajna, jest jego, bardzo osobista i sentymentalna – ale przy tym tak fascynująca, że po zapoznaniu jej traci patent na wyłączność. Wraca Praga w swojej najpiękniejszej kreacji wspomnień – już jako **nasza** Praga.

Edyta Pętkowska

Ann Patchett „Stan zdumienia”

„Stan zdumienia” to pierwsza książka amerykańskiej pisarki Ann Patchett, po którą sięgnęłam. Zaciekał mnie wywiad z autorką, opublikowany w jednym z czasopism na jesieni ubiegłego roku. Powieść zaczęłam czytać kilka miesięcy później i nie rozczarowałam się.

Intryga zaczęła się obiecująco główną bohaterką jest Marina, ceniona farmaceutka i badaczka. Musi ona wyruszyć w podróż do amazońskiej dżungli, by sprowadzić ciało swego przyjaciela z pracy. Zmarł on w tajemniczych okolicznościach. Na polecenie zarządu koncernu, dla którego pracował wyruszył on, aby sprawdzić stan badań prowadzonych przez charyzmatyczną dr medycyny Swenson. Sytuację Mariny komplikują trudne relacje z osobami, od których jej los jest zależny. Jej przełożony jest jednocześnie partnerem życiowym (choć utrzymują oni swój związek w tajemnicy) a dr Swenson była niegdyś jej nauczycielką. Na dodatek Marinę łączy z nią pewien bolesny sekret. Wyprawa do Amazonii jest tak naprawdę początkiem przygód bohaterki a niedogodności z nią związane to jedynie pierwszy krok jej trudnej drogi.

Oprócz intrygującej fabuły w środek opowieści wciąga czytelnika język utworu i niespieszna narracja autorki. Postaci są niezwykle plastyczne, acz nie zawsze łatwo czytelnikowi zrozumieć niektóre motywy ich działań. Nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, że to dramaty i wybory ludzi z krwi i kości, a nie papierowych figur. Opisy Manaus - amazońskiej dżungli - i żyjących w niej plemion przenoszą czytelników na drugą półkulę. Marina, podróżując na południe ze śnieżnej Minnesoty zostawia za sobą znane i bezpieczne życie, musząc zmierzyć się nie tylko z utrudnieniami w podróży, ale także własnymi demonami. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że dwukrotnie traci cały bagaż: symbolicznie można to odczytać tak, że każde doświadczenie wymaga od niej zapomnienia i pozostawienia za sobą wcześniejszych przeżyć. Na nic, co na nią czeka nie może się przygotować w konwencjonalny sposób. Przypomina to baśń, której bohaterka wykonuje coraz to nowe zadania, czy też musi pokonać rozmaite przeszkody, które stają się coraz trudniejsze. Aby dotrzeć do obozu dr Swenson, Marina musi zdobyć

zaufanie jej współpracowników, odbyć trudną podróż do samego serca dżungli, a po dotarciu na miejsce cierpliwie czekać, aż zostanie jej przedstawiony prawdziwy cel badań pani doktor. Rolę magicznego eliksiru do którego prowadzi opowieść, jako do centralnego obiektu fabuły pełni w powieści lek przeciwko malarii – Larim, który wywołuje u Mariny senne koszmary i halucynogenne wizje. Przywołuje ponadto wspomnienia podróży z dzieciństwa. Żyła ona bowiem na pograniczu dwóch kultur. Na codzień mieszkała z matką w Stanach Zjednoczonych, ale regularnie odwiedzała także ojca w Indiach. Przeszłość, mieszając się z bieżącymi wydarzeniami, każe odpowiedzieć nie tylko bohaterce, lecz również czytelnikom na trudne pytania o nas samych i granice naszych pragnień. Akcja rozwija się powoli, ale w kluczowych momentach przyspiesza i odsłania przed czytelnikami coraz to nowe tajemnice.

O sile utworu decyduje nie tylko interesująca fabuła i kunszt pisarski autorki, ale także jej przesłanie i pytania, na które każdy musi sobie odpowiedzieć. Jak wiele jesteśmy w stanie poświęcić dla osiągnięcia naszych celów? Czy o tożsamości decyduje pochodzenie, czy nasze działania? Jak wielki na nas wpływ ma przeszłość? Czy można się uwolnić od jej destrukcyjnego działania? Powieść Ann Patchett jest często przyrównywana do „Jądra ciemności” Josepha Conrada. Jednak przy lekturze pojawiają się zupełnie inne uczucia i skojarzenia a pisarze prezentują odmienną wizję świata i stosunków międzyludzkich. Polecam „Stan zdumienia” wszystkim miłośnikom literatury – jest to wspaniałe przeżycie, które ma tylko jedną wadę (mimo sporej objętości ok. 400 stron) książka kończy się zbyt szybko. Ale czy jest to faktycznie wada?